

J. BRAUN.

„DEMON FILMU“

5

Dach i okna mechanicznie zasunęły zasłony.

Półmrok.

I teraz dopiero w ciemnościach zajaśniała straszliwa, mglista barwa fosforyzującego płynu.

Wszystkie głowy zwróciły się ku niej automatycznie, jakby na zawiasach. Oczy przywarły do niej posłusznie. Powietrze napełniło się jakimś nieokreślonym, drażniącym zapachem i poczęło falować, jakby poruszone skrzydłami niewidzialnych „demonów”. Po ciemnej, drgającej tajemnicą hali poczęły przelatywać jakieś iskry, zygzaki, kręgi. A po chwili w zupełnej, grobowej ciszy, zapadłej jak wieko trumny nad światem, rozległ się głuchy, stłumiony, daleki głos reżysera:

— Oto wpadli już w trans. Musimy zacząć...

Hala rozjaśniła się nagle.

Lampy lunęły potokami światła.

Z boku i u góry zaświeciły rzędami „jupitery”.

W głębi zabrzmiała niewidzialna muzyka.

Nad szmerem przesuwanych aparatów, trzaskiem przekręcanych kontaktów i monotonnym łomotem puszcanych maszyn górował silny, rozkazujący głos reżysera.

— Światło B. Zgasić prawe „jupitery”.

— Jack, główny reflektor!

— Uwaga miss Marburg. Pani wchodzi!

— Hrabia przeraził się... Halloo! bliżej aparat.

— Więcej hysterji... więcej nerwowych wstrząsów.

— Harry, pierwszy plan...

— Dość! Przestać!

Scena szła za sceną. Reżyser od czasu do czasu zadowolony uśmiechał się nieznacznie. Wiedział, jak i z pośród kogo dobrać sobie swoich aktorów. Grali świetnie.

Dekoracje zmieniały formę, jak na mustrze. Podjeżdżały na szynach, przenosiły się z miejsca na miejsce zapomocą potężnych, sprytnie skonstruowanych przenośników i dźwigni wynalazku Browna.

Oto ciemny zaułek miasta.

Gazowe latarnie z potłuczonymi szybami.

Płomyki drżały od wiatru.

Wiele wściekły, złośliwy wichur (z ogromnych tub metalowych wylatują przeciągle, gwałtowne podmuchy). Ulicznica biegnie wyboistym trotuarem, wichur nią miota, targając spodnicę — ciemna sylweta zatacza się jak pijana. Pod ścianami przyczajeni apasze.

Mocno „tracony” dżentelmen...

Obraz w kręgu światła migotliwej latarni.

Dziewczyna przysuwa się do niego, prosi, obejmuje go rękoma, jegomość odpycha ją, ale potem uległszy idzie za nią.

Apasze skradają się z tyłu jak koty.

Aparat przysunięty błyskawicznie zdejmuje ich łajdackie, skrzywione zadowoleniem twarze.

Gra idzie dalej...

A Edgar Smith, uniesiony zapałem, pochłonięty swoją rolą — gra także...

ROZDZIAŁ VI.

Gabinet wtajemniczenia.

Tej nocy Smith spał głęboko i długo znużony nawałem nowych, niezwykłych wrażeń dnia i wyczerpany, nerwową intensywną grą pod reżyserją geniusza, który bezwzględnie i drapieżnie wydobywał ze swoich aktorów wszystkie wartości duchowe i eksploatował ich twórcze siły.

Śniły mu się jakieś potworne, tytaniczne obrazy, szatańskie wizje dramatu, w którym grał główną rolę, wstawaty przed nim i zapadały się w otchłań bezdenną z łoskotem walących się gmachów, perwersja i wyrafinowanie stworzonych talentem Browna postaci paliły go, jak oploty rozżarzonych do białości drutów.

Mózg zdyszany nieludzkim wysiłkiem artystycznej roboty drgał konwulsyjnie i pulsował tak, jakby lada chwila potargać się miała sieć nerwowych przewodów i cudowny mechanizm intelektu miał się rostrzaskać na milion bezużytecznych odłamków.

Nad ranem sny zlagodniały, zahamowały wściekły pęd i zgasiły żar w rozpalonej głowie. Edgar uspokoił się, oddechał równo i głęboko, puls stał się słabszy i normalny...

Obudził się.

Nie wyplątany jeszcze całkowicie z węzłów snu, kołysany wciąż jeszcze pomiędzy świadomością a stanem bezkrytycznym — nie zdawał sobie sprawy, czy postać siedząca obok niego na fotelu była zjawiskiem realnym, czy też wciąż jeszcze jednym z mglistych, niezupełnych cieniów falującej halucynacji nocy.

Otwierał oczy coraz szerzej.

Zjawisko nie zniknęło.

Przeraźliwie chady starzec o wysuszonej jak u mumiji

twarzy. Głowa owinięta turbanem, szata powłóczysta, przepasana na biodrach zieloną szarfą. Na nogach płytkie, aksamiadne pantofle.

Oczy martwo, nieruchomo wpatrzone w jeden punkt, siwa, zmierzwiiona broda, ręce skrzyżowane na piersiach.

Hindus...

— A ten czego tu chce? — pomyślał Smith.

— Pan się obudził, sahibie.

— Uhum! — mruknął niezachęcająco Smith.

— Proszę wstać i iść za mną.

— Poco? Kto mnie wzywa?

— Biały fakir oczekuje na Ciebie...

— Któż to taki? — zdziwił się.

— Mister Brown...

— Aa, to co innego. To jest powiedziane po ludzku.

Smith wstał leniwie i począł się ubierać.

Czego chce od niego ten despotyczny reżyser.

Irytował się w duchu.

— Wstać. Iść! Brown kazał! Do licha! Czy ja jest szeregowcem na mustrze, czy Edgarem Smithem, panem mojej woli. To zaczyna być niewygodne.

Ale mimo to za chwilę był już gotów do wyjścia.

Hindus prowadził go w milczeniu.

Szli dość długo szerokim, krytymi miękkimi chodnikiem korytarzami, skręcając to w prawo to w lewo, potem krążkiem otaczającym ciche, tajemnicze podwórze. Stanąwszy w małym, okrągłym pokoiku unieśli się w górę na chyżo mknącej platformie. Minęli coś sześć pięter.

Wysiedli z windy.

Duża, jasno oświetlona sala bez okien pełna jakichś dziwnych, niewiadomo do jakiego użytku służących maszyn i przyrządów.

Hindus otworzył drzwi zasłonięte ciemnoszkarłatną, frendzlistą kotarą. Uprzejmie zapraszał do środka.

Edgar wszedł, a wszedłszy zdumiał się bardzo.

Był w niewielkim, okrągłym gabinecie pograżonym w matowym, zielonawym blasku.

Blask ten płynął od kręgu przytulonych do ścian mglistych lamp, zatajonych pod kloszami posępnych abażurów z przejrzystej, lecz niepodobnej do szkła substancji.

Naprzeciw drzwi stał na wzniesieniu metalowy fotel, którego oparcie rozpiętało się u góry, jak wklęsły, parasolowaty baldachim. Poręcze tego tronu zakończone były lśnąciami kulami również z metalu.

Nad drzwiami poza Smithem ogromne, wklęsłe zwierciadło. Cały pokój odrutowany siecią kontaktów, których węzły koncentrowały się wszystkie u owych kul na poręczach fotelu.

Pod ścianami rzędy szklanych zbiorników w kształcie walców napełnionych gęstą, brązową cieczą. Wszędzie oko napotykało mnóstwo przedmiotów, których przeznaczenia nikt niewtajemniczony nie zdołałby odgadnąć.

Czarna magia, czy co u licha?

Hindus podsunął mu kszesło, na którym Edgar usiadł machinalnie, oszołomiony niespodziewanym widokiem.

— Dzień dobry — ozwał się znany mu, ostry głos.

Oglądał się.

Reżyser stał koło niego i uśmiechając się wyciągał doń rękę.

Smith milcząc przywitał się z nim uprzejmie.

— Mój gabinecik, jak widzę, zadziwił pana — mówił wesoło Brown. — Interesujące, prawda? Ale to jeszcze nic. Mamy nadzieję, że chętnie przypatrzy się pan eksperymentom o wiele ciekawszym niż wszystko to, co pan dotychczas oglądał w tym gmachu.

— Istotnie jestem zdumiony i oszołomiony. Wydaje mi się, że jestem w przybytku Czarnej Magji, w nowoczesnym muzeum cudów i osobliwości.

— Zaraz nastąpią wyjaśnienia.

— Czemże zasłużyłem sobie...

— Na tyle zaufania z mej strony, to chciał pan powiedzieć, nieprawdaż?... Widocznie jednak „Demon Filmu” uznał, że jest pan godzien wstąpić do przybytku jego tajemnic...

— Niewymownie się cieszę...

— Tylko bez frazesów. Tu nie jest miejsce odpowiednie dla salonowej konwersacji...

Usiadł i częstował cygarem.

Zapalili.

— Słuchaj pan roztropnie i uważnie... — zaczął reżyser. Smith uczynił nieokreślony gest wskazując znieruchomiałego pod ścianą Hindusa.

Reżyser uśmiechnął się.

— O, bądź pan spokojny. Ten może tu pozostać, to stary fakir Vasajava, mój dawny mistrz i przyjaciel. Tajemnicę moją zna on, aż do najdrobniejszych szczegółów.

Zaciągnął się dymem.

— Dziwi się pan, że wybrałem pana właśnie na powierzenia mych planów i mej tajemnej wiedzy? To całkiem proste. Aby pomoc wasza, panowie aktorzy, była skuteczna i rzetelna, ktoś z was musi dowiedzieć się kim jest ten, który tak okrutnie więzi was w tym dziwnym pałacu i którego wy uważacie może za warjata, za manjaka opanowago jakąś niezniszczalną ideą... „Królestwo kina”, „sugestia ekranu” — powtarzałem wam — a wy może w duchu drwiliście z tych pusto-brzmiących frazesów.